

## Przyjacielska przysługa

*[ Nie jest tak źle. Nie panikuj. Ten ból zaraz minie. Nie jest tak źle. Nie jest tak źle. Nie jest..... k\*\*\*a!! Jak to nie jest źle? Jest zaj\*\*\*e źle! Ja p\*\*\*lę! Nic nie czuję! I co do k\*\*\*y nędzy robią nade mną ci ludzie w białych kitlach?? K\*\*\*a, co ja tu do cholery robię? ]*

- Spokojnie żołnierzu, wyciągniemy cię z tego - usłyszałem czyjś głos z prawej.
- Wyciągnęliście wszystkie? - padł inny głos, ale tym razem z lewej.
- Tak, Generale. Łącznie 27 kul. Całe szczęście pancierz zatrzymał około 100 pozostałych.
- Dobra robota. Pozszywać, a później proszę o pełny raport.
- Tak jest, Generale!

*[ Ostatnie co pamiętam to twarz mutanta. Tak, twarz mutanta. To był mutant z uśmiechem na twarzy (o ile w ogóle można to było nazwać uśmiechem). I jeszcze ten dziwny dźwięk... Jakby uruchamianej maszynerii. Jakiegoś silnika. Ale nie takiego samochodowego - to był cichy pomruk. I świst. Tak, najpierw ten pomruk, a później świst. Co było później, nie pamiętam... Ale jak to się zaczęło? A, no tak, teraz sobie przypominam. Wyświadczyłem przysługę. Przyjacielską przysługę... ]*

A wszystko zaczęło się tak normalnie. Był poranek. Jak zwykle do baraku wparował pułkownik Kerigan i w swój ulubiony sposób urządził nam pobudkę. Zrzucił trzech "losowo wybranych" żołnierzy z łóżek, a potem na cały głos wydarł się mówiąc, że dzisiaj możemy spać o dziesięć minut dłużej. Chyba tylko dlatego, że pułkownik zawsze odprawiał swój "rytuał" dziesięć minut przed pobudką.

Wstałem, ubrałem mundur i udałem się do jadalni. Znowu było jakieś paskudne żarcie, ale niestety nie mieliśmy zbyt dużego wyboru. I tak jak na te czasy, były to dość niezłe warunki. Wtedy właśnie podszedł do mnie Spoter. Gdybym wtedy wiedział, w co mnie koleś wpakuje, to bym mu normalnie jaja na miejscu urwał. Ale na moje nieszczęście - nie wiedziałem...

- Cześć Leks!
- Cześć Spoter. Co nowego tym razem nowego wykombinowałeś? - jeszcze nigdy nie zdarzyło się, aby zagadał do mnie nie mając w tym jakiegoś konkretnego celu.
- Znasz mnie stary na wylot. I to właśnie dlatego cię lubię!

- Dobra dobra. Daruj sobie te gadki. Przejdź do rzeczy.
- Potrzebuję kogoś, kto zamieniłby się ze mną na lot.
- A gdzie tak bardzo nie chcesz lecieć?
- Do New Reno...
- Uuuuuu.... Po ostatniej bijatyce, którą tam urządziłeś, na cmentarzu Golgotha przybyło kilka nowych grobów. Rozumiem, że nie jesteś tam mile widziany...
- Stary! Oni to by mnie chyba zarabali na miejscu, jeżeli bym się tam teraz pojawił!
- No wiesz, gdybyś nie próbował okraść rodziny Bishopów, to nie było by problemu.
- Przecież przyłapali mnie przez czysty przypadek! To nie moja wina! Skąd mogłem wiedzieć, że w tym samym pokoju gdzie był sejf, żona Bishopa urządza sobie regularne orgie??
- Przecież jesteś żołnierzem Enclavy - nic by ci nie zrobili. Przecież nie musiałeś tak spierdalać przez całe miasto strzelając na oślep za siebie...
- Wiem, ale gdy zauważyli mnie grzebiącego przy sejfie, to nie mieli miłych min. A wiesz, że byłem wtedy po cywilu.
- Hmm...
- A wracając do tego lotu. Może ty byś się ze mną zamienił? Słyszałem, że lecisz do Den, a że mam tam pewien interes do załatwienia...
- Nie.
- Co? Jak to nie? Oj, stary! Daj spokój! Przywiozę ci kilka butelek tej dobrej Whiskey.
- Rzuciłem na niego pełne podejrzliwości spojrzenie. Jego pomysły nie zawsze były dobre, a za przemykanie alkoholu do bazy, groziła surowa kara. W każdym razie, jeżeli sam chciał nadstawić za mnie dupy, to ja mu tego nie zabronię.
- Ale ty za nie zapłacisz?
- No jasne. Nawet nie policzę ci za przewóz - uśmiechnął się szeroko.
- Dobra. Z kim lecę?
- Z Mifem.
- No, przynajmniej będę miał dobrego pilota. A właśnie, znowu dostawa dla Salvatore?
- Tak, to co zwykle, ale tym razem jest tego trochę więcej. Aha, odlatujesz za dwadzieścia minut. Na razie!

Szybko dokończyłem jeść, odstawiłem tacę i udałem się do windy. Zjechałem na dół i poszedłem do zbrojowni. Były tam już tylko trzy pancerze: mój, Spotera i Werda.

Werd zginął razem z dwójką innych podczas patrolu. W pobliżu ich ciał odnaleziono ślady trzech ludzi, mutanta, jednego Deathclaw'a i... samochodu. Pancerze pozostałych dwóch były tak zniszczone, że do niczego się już nie nadawały, tylko Power Armor Werda był w nienajgorszym stanie. Chyba dlatego, że zginął od pojedynczego strzału z Plasma Rifle prosto w oczy. Teraz jego pancerz czekał na nowego właściciela...

Ubrałem się, wziąłem broń i trochę więcej amunicji - tak tylko na wszelki wypadek. Pojechałem windą na górę i pobiegłem do hangaru. Mif już wyprowadził Vertibirda.

- Cześć Leks. Widzę, że jednak Spoterowi udało się z kimś zamienić - po jego tonie głosu zorientowałem się, że tak jak większość z nas, miał już dość towarzystwa Spotera.

- No, tym razem mu się udało - powiedziałem, jednocześnie szeroko uśmiechając się. Nałożyłem hełm, wszedłem do Vertibirda i dałem znak do włączenia silników.

Poczułem silne wibracje. Wystartowaliśmy. Oczywiście pionowo w górę. Już po chwili z dużą prędkością lecieliśmy nad pustynią. Po jakimś czasie daleko w dole ujrzałem pięć małych punkcików.

- Widzisz ich? - usłyszałem w słuchawce zamontowanej w hełmie głos Mifa.

- Aha. Jeden z naszych patroli?

- Tak, teraz wysyłają piątki. Pierwszy raz od wielu lat w ciągu jednego miesiąca straciliśmy aż trzy trójki.

- Tajemniczy gość z samochodem?

- Tak. Nadal go szukają. Ostatnio nawet ktoś połączył się z reaktora w Gecko z naszą bazą. Generał podejrzewa, że to był ten sam koleś. Wysłał już jeden oddział, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

- I co?

- Nie wiem, z tego co słyszałem, straciliśmy z nimi kontakt radiowy kilka dni temu. Ostatni komunikat nadali, gdy już byli prawie na miejscu... O, już widać New Reno.

Daleko w oddali widać było ślady cywilizacji. Rysy budynków w wyraźny sposób odznaczały się na tym pustkowiu. Przybliżaliśmy się bardzo szybko. New Reno nie było dużym miastem, jednak największym, jakie znałem. Najbardziej charakterystyczną rzeczą w tym mieście jest ogromny szyld, wiszący nad ulicą z napisem: "NEW RENO The biggest little city in the world".

Oczywiście New Reno znane jest z zupełnie czego innego. Jet, prostytutki, kasyna, bandy przestępców, no i jeszcze walczące ze sobą cztery rodziny mafijne: Wright, Salvatore, Bishop i Mordino.

Obok miasta w oddali widać było Golgothe - cmentarz. Leżeli na nim ci, którzy przeszkadzali w tym mieście i nie tylko...

- Tutaj poczekamy - powiedział Mif wskazując na płaski teren pod nami.
- O której jesteście umówieni?
- Ludzie Salvatora mają się tu zjawić o północy.
- OK. Idę po robota i wyładuję skrzynie.

Po dwóch godzinach użerania się z tą głupią mszyną, udało mi się wreszcie wyładować cały towar i ustawić skrzynie w jako takim ładzie. Niebo zaczynało robić się czerwone - zbliżał się zachód słońca. Rozejrzałem się dookoła. Nigdzie nie było żadnych śladów życia. Jedynie w oddali stało kilka uschniętych drzew. A poza tym pył i kamienie.

Dokładnie o północy przybyli ludzie Salvatore. Czekaliśmy na nich przed Vertibirdem. Było ich trzech. Wszyscy w Metal Armorach. Jeden z nich wyglądał na boksera - wielokrotnie złamany nos i naprawdę potężne ręce. Drugi był drobnej postury i miał twarz cwaniaka. Trzeci – z charakterystyczną blizną na czole, wyglądał na najważniejszego w drużynie.

- Macie towar? - zapytał się mnie koleś oznaczony przeze mnie jako "trzeci".
- My ZAWSZE mamy towar - odpowiedziałem - a czy wy macie czym zapłacić?
- Salvatore nigdy jeszcze nie oszukał Żołnierzy Enclavy - odpowiedział - oczywiście, że mamy.
- Dobra. Każe robotowi załadować skrzynie.

W tym właśnie momencie usłyszałem szmer. Zza sterty skrzyń wyłoniła się jakaś postać. Był to mężczyzna ubrany w Power Armor. W rękach trzymał Bozara, a za jego plecami stał ogromny mutant. W oddali zauważyłem jeszcze rysy sylwetek dwóch ludzi i..... ogromnego Deathclawa.

- Kim jesteś i czego tu chcesz intruzie? - zapytałem

Nie było żadnej odpowiedzi. Popatrzyłem na przybysza. Jego pewna mina i jeszcze dziwny wyraz twarzy mutanta nie wróżyły nic dobrego. Coraz mniej mi się to podobało.

- Radzę ci stąd odejść. To nie twoja sprawa. Odwróć się i zapomnij, że nas kiedykolwiek spotkałeś.

I właśnie wtedy na przekór moim słowom mężczyzna zrobił krok naprzód. Za jego plecami można było wyczuć nagłe poruszenie. No cóż, zrobiłem to, co każdy prawdziwy żołnierz Enclave zrobić powinien - wycelowałem i zacząłem strzelać. Gdybym wtedy wiedział, jaki będzie tego efekt, na pewno postąpiłbym w inny sposób (czyt.: spierdalałbym ile sił w nogach).

Ludzie Salvatore też nie stali beczynnymi. Posypał się grad kul. Pierwszą ofiarą był Mif. Wystarczyła jedna seria Bozara i pilot leżał na ziemi wężając kwiatki od spodu. Jako drugi padł mięśniak od Salvatore. Jakiś dzikus z kością w nosie jednym ciosem młota rozwali mu głowę. Mutant z diabelskim uśmiechem na twarzy zaczął siać z Miniguna we wszystkie strony. Rzuciłem się za skrzynie i zacząłem strzelać przez ramię na oślep. Po chwili strzały ustały. Wychyliłem głowę i zobaczyłem coś, czego nie zapomnę do końca życia. Różne części ciała "cwaniaka" były porzucane w promieni kilku metrów. Jego głowę bawił się najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie Deathclaw.

- Ja p\*\*\*le! Kto to k\*\*\*a jest?! - to był głos tego koleś z blizną. Leżał kilka metrów dalej z krwawiącą ręką.

- Nie mam pojęcia, ale z tego co wiem, rozwalił trzy nasze oddziały.

- Co to w ogóle jest do prostytutki biedy?!

- Kurwy nędzy - poprawiłem go odruchowo.

Siedzieliśmy tak może z trzydzieści sekund, ale wydawało się, że minęło kilka godzin. W tym czasie zdążyłem przeładować broń, sprawdzić zapas amunicji i stimpaków. Do rąk wzięłem dwa załadowane "Orzełki" i wyjrzałem zza skrzynie. Obracając głowę zamiast pustej przestrzeni, której się spodziewałem, natknąłem się na czyjąś nogę. Spojrzałem do góry - to był ten mutant. Stał nade mną i się uśmiechał. W rękach dźwiżył Miniguna. Lufa skierowana była prosto we mnie. Tuż obok stał dzikus, Deathclaw, jakiś grubas i jeszcze przybysz z Bozarem. Odłożyłem swoją broń, podniosłem się i spokojnie spojrzałem prosto w oczy mutantu.

Działko Miniguna zaczęło się powoli obracać...

*Piotr 'Sajdon' Szpakowski - Wrzesień 2002*